

UJĘCIA

ANTROPOLOGIA I FILM

To Sang Fotostudio/ *To Sang Fotostudio:* koda – Alicja – sens

ANDRZEJ PITRUS

Mysze, serio...

Niemal rok temu, pod koniec maja 2017 r., kończyłem pisać tekst do jubileuszowego numeru „Kwartalnika Filmowego”. Dopiero wtedy – naprawdę nie wiedziałem tego zabierając się do pracy – uświadomiłem sobie, że moja opowieść, zainspirowana niezwykle ciekawym dokumentem Johana Van der Keukena *To Sang Fotosudio* (1997), nie może zostać domknięta w Krakowie. Wtedy wyprawa do Amsterdamu w poszukiwaniu dalszego ciągu była jedynie mglistym projektem – obiecany i sobie, i czytelnikom, ale być może zupełnie nierealnym. Być może już żadna kolejna podróż miała nie dojść do skutku. Udało mi się „rozśmieszyć Boga” – choć podobnie jak Woody Allen, rzekomy autor słynnej trawestacji żydowskiego powiedzenia¹, nawet w niego nie wierzyłem. I nie uwierzyłem, choć zaznałem wielkiej trwogi.

If You want to see God laugh, tell him your plans – proponuje amerykański komik. Odpowiada mu inny „filozof”, czasem pięściarz, Mike Tyson: *Everybody has a plan, until they get punched in the mouth*. Dostałem w pysk, ale nadal miałem plan... a redakcja „Kwartalnika Filmowego” życzliwie zgodziła się przyjąć zapowiedź drugiego tekstu o To Sang Fotostudio. Właśnie bardziej o To Sang Fotostudio, mniej o *To Sang Fotostudio*. W czerwcu pojawiła się nadzieja, we wrześniu – wspólnie z Alicją i Arturem – dwiema osobami, które kocham, choć każdą inaczej, znalazłem się w Amsterdamie, a raczej w Zandvoort – niewielkim miasteczku nad brzegiem Morza Północnego. Wybraliśmy codzienne dojazdy pociągami ze względów praktycznych – jest gdzie zaparkować samochód, no i taniej – ale nie ukrywam, że liczyłem też na wieczorne wyprawy brzegiem morza, które pokochałem wtedy, gdy po raz pierwszy, zupełnie przypadkowo znalazłem się w studiu fotograficznym mistrza z Surinamu. Bóg, w którego zważyłem przed laty, nadal czasem kładł mi rękę na ramieniu, choć przecież nie istnieje.... Nie istnieje, prawda? Z przekory zapakowałem do bagażnika składany rower, by czasem spróbować mu uciec. Schować się. Gnam przed siebie, testując

szwankujący mięsień. Prawie zawiódł, ale jednak nie... Mój lekarz i najstarszy amigo jeszcze z czasów podstawówki mówi: *Nie bardzo w ciebie wierzyłem. Teraz mogę ci to powiedzieć.* Dlaczego to ten mięsień jest symbolem miłości? Przecież ona jest gdzie indziej, w głowie, w chemii. Miesza ci w niej, jak skręt wypalony z przyjaciелеm na plaży.

Szybko przekonałem się, że pomysł z zamieszkaniem w Zandvoort był lepszy, niż mi się początkowo wydawało. Odkryłem to tego dnia, kiedy po raz pierwszy udałem się na Albert Cuypstraat w wieloetnicznej dzielnicy De Pijp. Wyprawa zyskała odpowiednią dramaturgię, a ja dodatkowo wzmocniłem ją podjeżdżając tramwajem od strony Stadhouderskade. Czas zmienia się na teraźniejszy. Jadę czwórka, jak przed laty, wysiadam przy kanale, skąd trzeba przejść kilkadziesiąt, może sto metrów do początku ulicy, gdzie znajduje się targ. Pamiętam, że To Sang Fotostudio jest z drugiej strony, wygodniej byłoby wsiąść w 24kę. Przystanek jest znacznie bliżej studia, którego już nie ma. Nadal myślę, że na jego miejscu jest azjatycki *take away*. Wkrótce przekonam się, że jest inaczej, że pomyliłem numery, podglądając centralną ulicę De Pijp w Google Street View. Nie spieszę się, chcę być może odtworzyć trasę z przeszłości, ale też nasycić się barwnym targowiskiem. Oglądam stragany, kupuję jakiś idiotyczny magnes na lodówkę z napisem Holland i sikającą na pastwisku krową. Zatrzymuję się przy stoisku z łakociami, choć wiem, że nie powinienem. Najbardziej lubię oljebollen, ale szanse są mizerne. Te chrupiące racuchy to typowa potrawa noworoczna, kiedy indziej nawet w Holandii nie wszędzie są dostępne. Są natomiast *poффertjes* – miniaturowe grube naleśniki tylko z wyglądu przypominające swoich paskudnych w smaku amerykańskich kuzynów – są zawsze i wszędzie. Te klasyczne podaje się z topionym masłem, posypane cukrem-pudrem. Dzisiaj można dostać je też z czekoladą i innymi dodatkami. Ja zamawiam z samym masłem. Nie chcę cukru, który przesłania smak delikatnego rumianego ciasta. Sprzedawczyni spogląda na mnie pytającym wzrokiem. – Jak to? – myśli zapewne – je się z cukrem! Spełnia jednak moje życzenie i podaje mi papierową tackę. Wszyscy jedzą spacerując między stoiskami, ale ja zatrzymuję się i przysiadam na pacholku blokującym wjazd na ulicę.

Czas teraźniejszy jest tylko konsekwencją mojej arbitralnej decyzji. Druga, wrześnieowa wizyta na Albert Cuypstraat jest dziś wspomnieniem, czasem przeszłym w istocie. Jest maj 2018 roku.

Teraz już wiem, po co pojechałem do Holandii.

W 1991 r., kilka lat przed moją wyprawą do Amsterdamu, ukazała się *Historia semiotyki filmu* Alicji Helman, dwa lata później drugi tom – napisany już we współpracy z kilkoma innymi autorami. Byłem wtedy jeszcze zbyt „zielony”, żeby dołączyć do tego grona. W 1997 r. Johan van der Keuken realizuje *To Sang Fotostudio*, a Alicja publikuje *Twórczą zdradę*, która otwiera nowy rozdział w jej pisaniu o filmie. Tytuł odnosi się do adaptacji filmowej, ale jest też być może zwiastunem – pewnie wtedy jeszcze nieświadomym – innej zdrady. Może niejednej. Jest sygnałem powolnego zamykania się na „twardą metodologię”, na rzecz apoteozy interpretacji. Robert Escarpit² pisze o *creative treason* w szerszym kontekście. Zdrada jest bowiem cechą każdego aktualizującego odczytania, tak więc zdradzają nie tylko filmowcy, ale także wszyscy, którzy pytają o sens słów czy też obrazów – często stworzonych przed laty, w kontekstach dziś już dla nich niedostępnych.



Tu było niegdyś studio



Harry



Obiecałem zareklamować... :) www.hollywoodhair.nl



Hens

Dziś trzymam Alicję za rękę i zadaję jej semiotyczne pytanie: *Czym jest znaczenie, a czym sens? Ona najpierw się trochę złości: Testujesz mnie, czy jeszcze pamiętam?*

W końcu odpowiada. Najpierw jak semiotyk, podkreślając meandry naukowego żargonu, zwłaszcza jeśli zestawimy ze sobą teksty napisane w różnych językach, a potem jakoś inaczej, nadal jednak trafiając w sedno: *Znaczenia otaczają mnie ze wszystkich stron, są wszędzie. Sens jest tam, gdzie pojawia się wartość.*

Jeszcze kilka lat temu Alicja nie miała własnego telefonu. To znaczy miała... Mieliliśmy tak zwany stacjonarny, ale kiedy naszymi jedynymi „rozmówcami” stali się telemarketerzy, stanowczo zażądaliśmy jego wyłączenia. Kupiona przeze mnie komórka nadal jednak leżała na dnie szuflady, nienaładowana od miesięcy. W końcu dała się namówić na jej używanie; dla bezpieczeństwa i wygody, ale nadal numer zna tylko kilka osób, a ja ciągle bywam jej „sekretarzem”.

– *Słyszałem, że ma pan coś wspólnego z Alicją Helman, sugeruje głos Pana z kolorowej gazety. – Tak... coś mam, ale nawet ja nie namówię jej na wywiad.*

Kiedyś, już dobrych kilka lat temu, kiedy telefon leżał jeszcze na dnie szuflady, zadzwoniła pewna młoda osoba. Nawet nie pamiętam, w jakiej sprawie, ale zaczęła od tego, jak jest zaszczyczona i że Alicja Helman wielka, i że *spizowy pomnik polskiego filmoznawstwa.*

– *Pomnik nie może podejść do telefonu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Pomnik smaży właśnie naleśniki dla naszej wnuczki i kiedy Pomnik skończy, to odzwoni.*

Jaką odpowiedź na moje semiotyczne pytanie otrzymałbym trzydzieści lat temu? Nie trzymając Alicji za rękę, wtedy, kiedy i dla mnie była pewnie spizowym pomnikiem, choć przecież nigdy nie przybierała żadnej pomnikowej pozy. Nie wiem i nie dowiem się nigdy, ale i ja nie mam wątpliwości, że sens musi opierać się na wartości. I nigdy nie jest niezachwiany. Ważne jest nie tylko „co” i „kto”, ale także „kiedy”.

Wracam do Amsterdamu. Czas przeszedł znowu czynię terażniejszym. Jestem tam i wtedy, ale bogatszy o dzisiejszą rozmowę o znaczeniu i sensie. Początkowo plan jest prosty: chcę zobaczyć, co się stało z To Sang Fotostudio, odnaleźć ludzi uwiecznionych przez holenderskiego reżysera, zapytać ich o to, jakim doświadczeniem było dla nich uczestnictwo w dokumencie van der Keukena. Oczywiście obawiam się, że niczego już nie ma, że nie spotkam nikogo. Idę powoli, zatrzymując się przy niemal każdym stoisku. Celebрую oczekiwanie, a być może odwlekam moment klęski. Po drodze robię zdjęcia. Początkowo chciałem zabrać nieco zakurzonego Pentaxa – bo ciągle brak czasu na wszystkie pasje – ale w ostatniej chwili decyduję się na komórkę. Mam byle jaki aparat – tani smartfon kupiony w Bremie po niespodziewanej awarii poprzedniego. Fotki będą pewnie kiepskie, ale jakaś nieoczekiwana iluminacja przekonuje mnie, że właśnie takie powinny zapisać moją wyprawę, bo to one wyrastają z fotograficznego języka współczesności – dużo, szybko, niepotrzebnie, zwykle bez sensu, choć – dowiedziałem się tego dzisiaj rano od Alicji – zawsze znacząco. Inaczej się nie da, bo znaczenia są wszędzie. Pstryk!

Zakład To Sanga znajdował się pod numerem 57. Szybko przekonuję się, że azjatycka knajpka z jedzeniem na wynos jest z drugiej strony, a tam, gdzie znajdowało się studio, dziś znajduje się sklep z kosmetykami, przede wszystkim do włosów. Wnętrze jest osobliwe. Półki z ciasno poustawianymi specyfikami i jeden fotel

fryzjerski. Podobnie jak okoliczne lokale, sklep ma specjalny charakter; przy Albert Cuypstraat najwięcej jest tych w taki czy inny sposób związanych z Surinamem. Okoliczne minifirmy prowadzą najczęściej ludzie przybyli z tego niegdysiejszego zamorskiego terytorium Holandii, gdzie – mimo niepodległości uzyskanej w 1975 r. – nadal językiem urzędowym jest niderlandzki. Wiele miejsc związanych jest z kulturą włosów, żywą w tym kraju, gdzie fryzura do dzisiaj stanowi rodzaj kodu informującego między innymi o stanie cywilnym jej posiadaczki³, a nawet o zamiarach wobec potencjalnych amantów. Czuję się trochę jak intruz, trochę jak dziecko wpuszczone do pracowni alchemika. Może warto byłoby coś kupić na dobry początek? Nie wiem jednak co, a zapewne żaden z tajemniczych słoiczków nie zawiera eliksiru zdolnego pobudzić do życia moje liche rozwiane włosy. Może coś do brody? Ta ma się dobrze. Sklep jest otwarty, ale nie od razu zauważam sprzedawcę. Po chwili jednak dostrzegam go i natychmiast mam wrażenie, że on doskonale wie, iż nie zarobi na mnie ani jednego eurocenta. Wita mnie jednak życzliwie i chętnie podejmuje rozmowę. Charles Tsai nie tylko wie, co mieściło się pod numerem 57, ale także zna fotografię z dokumentu Johana van der Keukena i jego syna. Jest jedynie najemcą lokalu, a właścicielem pozostaje nadal To Sang. Dowiaduję się od niego, że nie spotkam bohatera filmu. Jest u rodziny w Hongkongu, gdzie urodził się i zaczynał pracę w swoim zawodzie. Do Holandii – o czym wiedziałem – przybył jednak z Surinamu, w którym też miał status imigranta i obcego. Nigdy nie nauczył się płynnie mówić po niderlandzku. Charles daje mi numer telefonu syna artysty, ale wielokrotne próby skontaktowania się z nim kończą się niepowodzeniem. Pewnie i jego nie ma w mieście, zwykle przed domem – a mieszka wraz z ojcem tuż obok, nad sklepem – stoi jego skuter. Teraz nie ma go na swoim miejscu.

Charles sporo wie o swoich sąsiadach z De Pijp i wskazuje mi miejsca, których szukam. Zostały tylko dwa. Po innych nie ma już śladu. Zmienili się właściciele, niektórzy już odeszli. Na miejscu jest jednak biuro podróży Capricho Tours, także nastawione przede wszystkim na klientów z Surinamu, ale oczywiście nie wyłącznie. Znajduje się ledwie kilka bram dalej, niemal na końcu ulicy, a jego właścicielem jest nadal Harry Jibodh – pierwszy ze spotkanych przeze mnie bohaterów filmu van der Keukena. Podobnie jak Charles, Harry przyjmuje mnie bardzo życzliwie i poświęca sporo czasu. To jego portret wydał mi się w *To Sang Fotostudio* najbardziej fascynujący. To on był najbliższy pomalowanemu farbami obrazowi ukazującemu Jezusa nauczającego z łodzi, zapamiętanemu przeze mnie z dzieciństwa. Wcześniej, kiedy w 1997 r. przypadkowo trafiłem do warsztatu chińskiego fotografa, widziałem tam wiele innych podobnych zdjęć. Dziś oczywiście nie pamiętam ich dokładnie, nie umiem powiedzieć, jakie postaci przedstawiały. Twarze mężczyzn, kobiet, pewnie też dzieci uchwycone na czarno-białej fotografii poddanej potem obróbce przez mistrza.

Kiedy trafiłem do biura Harry'ego, było jeszcze wcześniej, zapewne niedawno otworzył swoją firmę, ale w czasie mojego spotkania z nim nie pojawił się tam żaden klient. Pytam go o film van der Keukena, choć oczywiście nie muszę upewniać się, że to właśnie on był jednym z jego bohaterów. Mimo upływu lat rozpoznaję go bez trudu. Harry jest chyba trochę zaskoczony, jakby słabo pamiętał swoją przygodę sprzed dwóch dekad. Wcześniej odwiedzał zakład sąsiada, ale tylko po to, by wykonać „banalne” zdjęcia do dokumentów. Stylizowany portret został stworzony specjalnie na zamówienie reżysera, ale Harry nie wie, co się z nim stało. Od-

noszę wrażenie, że udział w *To Sang Fotostudio* nie był dla niego czymś bardzo ważnym. Przez chwilę jestem zawiedziony – po pierwsze dlatego, że w istocie nie dowiaduję się od niego niczego nowego, później zaś z powodu braku możliwości spotkania z To Sangiem, no i wreszcie, ale to dopiero pod wieczór, dlatego, że podejrzewam, iż także jego syna nie ma w mieście. Obawy potwierdzą się później. Postanawiam jeszcze raz powrócić do Amsterdamu – sam nie wiem kiedy... Liczę na to, że kiedyś wreszcie się dodzwonię.

Jednak wieczorem uświadamiam sobie, że moja częściowo tylko udana wyprawa jest w istocie całkowicie spełniona, bo jej niekompletność jest elementem tego konkretnego spotkania z *To Sang Fotostudio*, filmem oglądanym chyba już dziesiątki razy, i moim jego rozumieniem. Tu i teraz. We wrześniu 2017 r. w Amsterdamie. Podekscytowany opowiadam o spotkaniach Alicji i Arturowi, zwłaszcza że liczę, iż następnego dnia uda mi się dotrzeć do kolejnej bohaterki – jeszcze nie wiem, że ma na imię Yolanda. W poniedziałek, kiedy po raz pierwszy stoję przed drzwiami jej zakładu fryzjerskiego, zastaję je zamknięte. Właścicielka sąsiedniego sklepiku informuje mnie, że dzisiaj już nie warto czekać. Oczywiście postanawiam wrócić kolejnego dnia.

Hollywood Hair to więcej niż klasyczny zakład usługowy. Okazuje się, że jego czarnoskóra szefowa także pochodzi z Surinamu. Jej klientami są jednak nie tylko emigranci z Południowej Ameryki, ale również Afrykanie i Holendrzy. Usługi obejmują nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, strzyżenie, farbowanie i układanie fryzur. Yolanda zajmuje się też ząszczaniem i wzmocnianiem włosów. Z filmu Johana van der Keukena nie dowiadujemy się wiele o jej pracy, również powody, dla których godzi się na wykonanie zdjęcia, do którego pozuje wspólnie z białym partnerem, pozostają niejasne. Hens jest nim nadal. Mam szczęście, bo w dniu, w którym ponownie dotarłem do Hollywood Hair, jest tam także on. Przybywam bez zapowiedzi i nie wiem, czy Yolanda znajdzie dla mnie czas i czy, podobnie jak wcześniej Charles i Harry, będzie miała ochotę powspominać spotkanie z reżyserem. Czekam jednak miła niespodzianka – Hens był bardzo zaangażowany w udział w filmie. Jego zdaniem van der Keuken zwrócił uwagę na nich, bo *To Sang Fotostudio* opowiada także o wieloetniczności De Pijp, a on i Yolanda tworzą związek międzyrasowy. Hens, w przeciwieństwie do Harry'ego, znał filmy van der Keukena, jeszcze zanim reżyser zaprosił go do udziału w projekcie. Już po premierze dokumentu przez jakiś czas gromadził poświęcone mu wycinki prasowe. Miałem okazję obejrzeć, a nawet skopiować je podczas naszej rozmowy. Yolanda i Hens zostali ze mną po zamknięciu zakładu, z chęcią odpowiadali na pytania, ale w końcu poprosili o ponowne przesłanie ich mailem, by mogli się zastanowić i przygotować bardziej rozbudowane odpowiedzi. Kolejne rozczarowanie, bo przecież nie chciałem, żeby wchodzili w skórę ekspertów, lecz spontanicznie i na gorąco opowiedzieli mi podczas tej wieczornej rozmowy o swoich doświadczeniach.

Po chwili za zamkniętymi już drzwiami zakładu widzę twarz mojego przyjaciela. Artur zwiedzał okolicę i przyszedł zobaczyć, czy będziemy mogli razem wrócić do Zandvoort. Ostatni kwadrans spotkania odbywa się już w jego towarzystwie. Wkrótce jednak przychodzi kolejna iluminacja: oto bowiem Hens, któremu moje zainteresowanie filmem sprawia wyraźną przyjemność, po raz kolejny przyjmuje odświętną pozę. Czuje się – zresztą w sposób jak najbardziej uzasadniony – ważny i na swój sposób wyróżniony uczestnictwem w filmie jednego z najwybitniejszych

holenderskich reżyserów. Nie mogę zatem nie uwzględnić tej propozycji – mój powrót do Amsterdamu nie zaowocuje szybko napisaniem tekstu. A tak miało się stać jeszcze dzień wcześniej.

*

*We asked for signs
The signs were sent
The birth betrayed
The marriage spent
Yeah the widowhood
Of every governmen
Signs for all to see*

(...)

*Ring the bells that still can ring
Forget your perfect offering
There is a crack, a crack in everything (there is a crack in everything)
That's how the light gets in*⁴

Szpeciallynie lubię ostatnią frazę – *a crack* to nie tylko pęknięcie, szczelina, ale także skaza. To przez nią przenika światło. Może sens, jeśli zgodzimy się na tę nie najbardziej przeciw wyszukaną metaforę. Kanadyjski poeta i pieśniarz Leonard Cohen nagrał *Anthem* tuż przed podjęciem życiowej decyzji. Odrzucił świetnie rozwijającą się karierę muzyczną, by zamieszkać w buddyjskim klasztorze i studiować *koany zen*. Choć zapewne nie studiował wcześniej koncepcji Ferdinanda de Saussure'a, w pieśni tej stworzył miniaturowy manifest antysemiotyki odrzucającej proste znaczenia i głodnej sensu. Czy zatem Alicja zmarnowała swój czas?

Kilkanaście miesięcy temu mój *niegdysiejszy amigo* zapłacił mandat za przejście przez jezdnię na czerwonym świetle. Była noc, pusto, ale policjant pytał: – Czy nie wie Pan, co znaczy czerwone światło? 50 złotych. Może 100. Niedawno, niedaleko mojego hiszpańskiego domu stałem przed zebra wymalowaną na charakterystycznym garbie zmuszającym samochody do zwolnienia; wiem, że nikt nie przejmuje się światłami, ale obok mnie para policjantów – dziewczyna i mężczyzna w średnim wieku. Czekam grzecznie. *El rojo es para coches! Vamos!* Semiotycy nazywaliby to być może negocjowaniem znaczenia. Ci mniej ortodoksyjni.

Jesteśmy w Polsce, po raz pierwszy od lat tak bardzo w „ich” Polsce. Szukamy uzasadnienia, przyjaciel pyta nas o to, co nas tu ucieszyło? *Ty* – odpowiada Alicja, a potem sami zadajemy sobie to pytanie. Słuchamy muzyki, po raz pierwszy od wielu miesięcy z cudownego gramofonu stworzonego przez człowieka, który wcześniej produkował kosiarki i siewniki. Aż wreszcie zrozumiał, że chce robić coś zupełnie innego. Oczywiście Cohen, choć nie tylko i nie *Anthem*. Ostatnia, przedśmiertna płyta, która jest pożegnaniem. W szczelinach tekstów jest czytelne wyznaczenie: śmierć była decyzją. Wiemy to, choć nie ogłoszono przyczyny odejścia Leonarda Cohena. *You want it darker, we kill the flame...* Nie musimy rozmawiać już o jego decyzji, doskonale wiemy, że chcielibyśmy tak samo, kiedy płomień zacznie migotać zanadto lub stanie się niebieski...

W Amsterdamie to już ostatni dzień, jeszcze pożegnalny wieczór w Zandvoort i droga do domu z jednym postojem w Brunszwiku. Czekam na list od Hensa – to

z nim koresponduję, ale on pisze w imieniu swoim i Yolandy. Mija kilka miesięcy. Hens prosi, żeby przypominać o mojej prośbie. Przypominam i powoli tracę nadzieję. Odpowiedzi na moje pytania nie nadchodzą.

Tu nieoczekiwanie zmienia się wszystko... otwieram drzwi naszego nowego domu w kraju, w którym rosną pomarańcze. Mam tam parę drobiazgów do zrobienia, ale niewiele... W zasadzie możemy się wprowadzić, ale chcę przygotować wszystko tak, by Alicji było wygodnie i bezpiecznie. Kupujemy kilka mebli, Magda dostanie łóżka, które zagracały nam pokój. Cieszy się. Krucho u niej ostatnio, finansowo pod górkę. Nie po raz pierwszy przychodzi refleksja: może to, co było ważne, już ważne nie jest?

Nieoczekiwanie, między skręcaniem dębowego regału a wycieczkami w poszukiwaniu dywanu przychodzi list od Hensa. Nie zapomniał, przeprasza za zwłokę, podobnie jak ja kilka miesięcy wcześniej miał problemy zdrowotne. Dołącza odpowiedzi na pytania, które zadałem mu w październiku ubiegłego roku. Powoli zaczynam rozumieć, że tak naprawdę szukam Cohenowskiej szczeliny, chcąc zrozumieć istotę mojej wyprawy do Amsterdamu, zadając sobie pytanie, czy mające długą i na swój sposób niezwykłą historię olśnienie filmem Johana van der Keukena nadal „ma sens”. Dla mnie.

Doświadczenia Yolandy i Hensa różnią się od tych, które pamięta Harry. Podczas gdy on zapewniał mnie o całkowitej swobodzie, jaką dał mu reżyser, oni postrzegają *To Sang Fotostudio* jako rodzaj inscenizowanego dokumentu, w którym ich działania były w dużym stopniu zaprogramowane przez van der Keukena. Yolanda знаła fotografię dobrze, ale skorzystała z jego usług tylko raz, gdy były jej potrzebne zdjęcia paszportowe. Hens natomiast nie był wcześniej w *To Sang Fotostudio*, ale widział kilka filmów holenderskiego eseisty, co go skłoniło do udziału w projekcie. Namówił Yolandę. Do listu dołączył kilka następnym skanów artykułów o filmie i zdjęć z albumu poświęconego hongkońskiemu mistrzowi.

Pytałem nie tylko o sam film, ale także o dzielnicę De Pijp, w której mieszkał van der Keuken. *To Sang Fotostudio* to przecież nie tylko opowieść o niewielkim studiu fotograficznym, ale także o ulicy. O relacjach między jej mieszkańcami: o tych, które były i tych stworzonych przez film. Reżyser, zapraszając sąsiadów *To Sanga* do udziału w filmie, nie tylko utrwalił ich więzi, ale również stworzył nowe. Nie ma dokumentów niezmiennych sportretowanego w nich świata. Van der Keuken zapewne wiedział o tym, że „niewinny” dokument nie istnieje, ale inaczej niż nasz Krzysztof Kieślowski nie porzucił tej formuły, lecz jedynie zmodyfikował ją, odchodząc od strategii klasycznych, w jego wypadku korespondujących z *direct cinema*, na rzecz rozwiązań bliższych esejowi.

Yolanda wspomina z nostalgią dawne czasy. Kiedyś nowi przybysze odwiedzali ją w zakładzie, aby się przedstawić. Czasem pożegnać. Teraz wszystko stało się bardziej anonimowe. Poczucie jedności ulotniło się, choć przecież przy Albert Cuypstraat nadal mieszka wielu imigrantów z Surinamu. Dziś kwestia tożsamości jest jednak bardziej złożona: gdy zamówiłem poffertjes bez cukru gromiące spojrzenie rzuciła mi sprzedawczyni o azjatyckich rysach. Mówiła po niderlandzku bez obcego akcentu. Przecież jest Holenderką! Jej tożsamość określa język, którym biele się posługuje i zapewne w tym właśnie języku śni.

Hens przesyła sporo załączników, między innymi skany kart książki, w której po raz pierwszy *To Sang* został przedstawiony szerszej publiczności⁵. Dziś to biały

kruk, ale i ja jestem szczęśliwym posiadaczem egzemplarza. Ten należący do Hensa jest jednak inny: wyjątkowy i unikatowy. To Sang nie tylko wpisał dedykację. Hens i Yolanda zdecydowali się też wkleić do albumu ich zdjęcia – wykonane już po dacie publikacji. Trafiają one na strony, które wydawca pozostawił puste – w tej wersji albumu nie zamyka fotografia małego pieska na tle szafirowej draperii, ale właśnie podwójny portret moich nowych znajomych z Albert Cuypstraat, siedzących przed ścianą udekorowaną fototapetą z wodospadem.

Znajduję szczelinę czy też rysę w miejscu najmniej oczekiwanym. Nie w wypowiedziach zarejestrowanych na żywo podczas pobytu w Amsterdamie i nie w wywiadzie udzielonym mi życzliwie przez Yolandę – właścicielkę Hollywood Hair – i jej partnera. Pojawia się ona w *post scriptum* listu od Hensa. Wspomina w nim jeszcze raz o unikatowym albumie, deklarując gotowość rozstania się z nim. *Może znasz kogoś, kto chciałby go kiedyś ode mnie kupić?* – pyta, by zaraz dodać: *Będę z Tobą szczery. Oddam go tylko za dobrą cenę.* Nie dowiem się, skąd wzięła się idea sprzedaży książki. Nie wypada pytać, ale niezależnie od przyczyny propozycja Hensa jest jakąś formą rozstania, zamknięcia przeżycia, które było dla niego ważne.

Kiedyś album znaczył dla niego wiele – bo z autografem i własnym miejscem wynegocjowanym za pomocą nożyczek i kleju. Czy nadal będzie znaczył, gdy zmieni właściciela? Sam zapłaciłem sporo za mój egzemplarz, ale nie wiem, czy była to „dobra cena”, o której wspominał Hens. Postanawiam zapytać Alicję o to, czy nieobecność znaczenia, jego przesunięcie w sferę czasu przeszłego, może „mieć sens”. Czy – chyba wbrew jej wcześniejszej, niezwykle skądinąd celnej odpowiedzi – sens może brać się z zanegowania tego, co kiedyś znaczyło. A teraz już nie znaczy, lub to znaczenie słabnie. Staje się niebieskim płomieniem. Rezygnuję, uświadamiając sobie, że ważniejsza jest moja własna odpowiedź na tak postawione pytanie. Ona i tak jej udzieli jako pierwsza, miejmy nadzieję nie jedyna, czytelniczka mojego tekstu.

Ja też zamykam jakiś rozdział. Film obejrzały przed laty z moim kumplem Joramem staje się świadkiem poszukiwania nowego miejsca i nowych sensów i punktem wyjścia sformułowania altersemiotyki filmu.

Jeśli chcesz zapytać: andrzej@pitrus.com.pl

ANDRZEJ PITRUS

¹ W istocie Woody Allen jedynie spopularyzował tę kwestię, która, co ciekawe, doczekała się bardzo wielu interpretacji, także takich, jakie zaskoczą cynicznych sceptyków. Natrafiłem na wiele, ale szczególnie ciekawa wydaje mi się ta, którą znalazłem w książce Thomasa Flowersa. Por. T. Flowers, *God's Invitation: Meditations on a Covenant Relationship*, Paulist Press, Mahwah 2011, brak numeracji stron. Autor opowiada w niej o swoim powołaniu do życia w zakonie paulinów, a „śmiech Boga” jest w jego ujęciu „śmiechem stwórcy”, niezmiennie zachwyconego własną kreacją i jej planami. Pozostają cynicznym sceptykiem, choć w istocie zazdroścę Flowersowi. Jestem mu także wdzięczny, bo jego od-

czytanie analizowanej tu frazy w istocie pozwoliło mi odpowiedzieć sobie na pytanie, czego szukałem w Amsterdamie. Szukałem znaczenia.

² R. Escarpit, „*Creative Treason*” as a Key to *Literature*, „Yearbook of Comparative and General Literature” 1961, t. X, nr 10.

³ Por. V. Mason-John, *Our Crowning Glory*, w: *Hair Power; Skin Revolution*, red. N. Moore, Mator, Leicester 2010.

⁴ Fragment pieśni Leonarda Cohena *Anthem* pochodzącej z albumu „The Future” (1992) wydanej przed przystąpieniem artysty do buddyjskiego Mount Baldy Zen Center.

⁵ Frido Troost/Willem van Zoetendaal, *To Sang Fotostudio*, Amsterdam: Basalt 1995.